ROZMAITOŚCI.

Dnia 14. Maja. **№ 20.** **Roku 1856.**

HRABIA SARJEDO.

(Z niemieckiego.)

Można być bardzo znakomitym, a ginąć z głodu; liczyć stu antenatów w swoim rodzie, a niemieć szeląga w kieszeni. Don Alkamar de Centuros y Cavallos był grandem Portugalii piérwszéj klasy; miał prawo stawać przed królem z nakrytą głową; mógł z dumą spoglądać na długi szereg swoich przodków, gdyż żaden z nich niezapomniał nigdy o swéj godności i szlachetności rodu, żaden z nich nieuniżył się do służebnictwa, żaden niesplamił się niestosowném małżeństwem; czysta, nieskażona krew płynęła w żyłach tego znakomitego potomka, i żadna krésa poprzeczna nieszpeciła wspaniałego herbu Don Alkamara de Centuros y Cavallos.

Don Alkamar szedł w ślady swoich sławnych przodków; był wolny i niezawisły jak oni, i żył jak oni w pałacu. który ród jego od wieków zamieszkiwał. Nad głównemi drzwiami pałacu wznosił się herb familijny, — tylko nikt niebył wstanie go rozeznać, gdyż rozliczne, zuchwałe ptactwo zagnieździło się w jego różach i tarczy, w jego hełmie i pancerzu, i wspaniały herb familii Centuros y Cavallos znikł pod grubą warstwą pomiotu.

A przecież spoglądał Don Alkamar każdą razą, nim przestąpił próg swego pałacu, z uśmiechem dumy ku swemu herbowi, a zuchwałe ptactwo, witając go swą dziką wrzawą, zdawało mu się być bóstwem domowém, które błogosławiło krokom wracającego.

Z takiém-to uczuciem przestępował Don Alkamar próg swego pałacu i wchodził dumnie do przedsieni. Nieraziło go to wcale, że zgraja służalców niewybiegła naprzeciw niemu, że żaden paź niepospieszył otrzyć pyłu z jego trzewików i zaprowadzić go do garderoby, by przezuć obwisłe, podarte pończochy! Don Alkamar był przez-to i pozostał zawsze ostatnim, dumnym potomkiem familii Centuros y Cavallos i grandem Portugalii, chociaż przedsień jego pałacu była pusta i głucha, choć w szczelinach murów wyświstywał wiatr żałośne piosnki znikomości, choć w komnatach jego niebyło innych gości prócz pająków i rozmaitego robactwa, które wytrwało wiernie w pałacu Don Alkamara, gdy już nawet myszy i szczury go opuściły nieznajdując w tém pustkowiu ani okruszyny chleba, by mogły głód swój zaspokoić.

Don Alkamar de Centuros y Cavallos, grand Portugalii, nosił zadeptane trzewiki i podarte pończochy; wypłowiały płaszcz aksamitny, którym okrywał swą wysoką, smukłą postać i zasłaniał wszelkie inne braki swéj garderoby, był niegdyś błękitnego koloru, a srebrne naszycia jego przybrały powoli brudną, szarą barwę; ale zawsze był-to płaszcz aksamitny, jaki przystało nosić grandowi Portugalii. A na tym płaszczu aksamitnym błyszczał i jaśniał ciężki łańcuch złoty, który z zalotną niedbałością wił się około zmiętego, brudnego kołnierzyka Don Alkamara i spoczywał dumnie na szerokich jego piersiach.

Don Alkamar nieposiadał nic prócz tego pałacu z herbem swéj familii, który codziennie groził upadkiem; ale przecież miał przynajmniéj gdzie przenocować, a chociaż drzwi były bez zamków i rygli, i skrzypiały za każdym powiewem wiatru, przecież w zimie cieplej było w tych komnatach, niż na ulicy, gdyż miały jeszcze takie zakąty, gdzie dészcz nieprzeciekał i nieraziły przeciągi. Zresztą w jednym z tych pokoi pozalepiał Don Alkamar bardzo zmyślnie potłuczone szyby kartami starego pergaminu, które znalazł w archiwie swego domu. W tym-to pokoju, który nazywał swoim „gabinetem", przesiedział Don Alkamar w swobodném zaciszu niejeden długi wieczór zimowy, dumając o wielkości i sławie swego rodu, i spoglądając z radośną dumą na swój złoty łańcuch, ostatnią, świetną spuściznę po swoich przodkach, którą od wieków nosił zawsze na piersiach najstarszy z rodziny, a którą teraz nosił Don Alkamar jako ostatni i jedyny potomek swéj familii. Z nim miała wygasnąć ta szlachetna familia, on był ostatni z rodu. Nad tém dumał Don Alkamar cały długi wieczór zimowy, spoglądając na swój złoty łańcuch, który połyskiwał w bladém światełku małéj lampy olejnéj.

— „Muszę się ożenić" — mruknął Don Alkamar przesuwając łańcuch w ręku — „tak jest, muszę się ożenić, i to stosownie do mego stanu, ażeby herb mego rodu niezostał splamiony. Jutro poszukam sobie małżonki!"

Z tém dumném postanowieniem rozciągnął się Don Alkamar na łóżku, a właściwie na marmurowéj posadce swego „gabinetu", i roił sny złote.

Nazajutrz zrana zaś przestąpił Don Alkamar w swym płaszczu aksamitnym ze złotym łańcuchem próg swego pałacu i postępował poważnym krokiem ulicą. Młody żebrak Antonio, który siedział u rogu ulicy i spożywał skromne swe śniadanie, zaczął przedrwiewać jego zabłoconym trzewikom i podartym pończochom, ale Don Alkamar niezważał na to. Wielkie myśli ważyły się w jego głowie; przed nim unosił się herb jego rodu i zdawał się wskazywać mu drogę, którą ma postępować. Droga ta zaś niewiodła go do dumnego pałacu, lecz do nizkiéj, ubogiéj chaty w jednéj z ustronnych ulic Lizbony. Don Alkamar przestąpił spiesznie próg tego domku i wszedł bez zapukania do małéj izdebki w zatyłku, któréj drzwi były tylko przyparte, i zkąd dzwoniła świéża wesoła piosnka młodéj dziewczyny. Don

Alkamar stanął we drzwiach i przejźrzawszy poważnym wzrokiem tę małą, nędzną izdebkę, przypomniał sobie z radośną dumą duże, jasne i wspaniałe komnaty swego pałacu. A gdy potém wzrok jego spoczął na młodéj dziewczynie, która odwrócona ode drzwi stała przy balii i piorąc żwawo nuciła swą wesołą piosnkę, przemknął promienny uśmiech po jego obliczu, i dumne oko jego przybrało łagodny wyraz.

Spiesznym krokiem postąpił naprzód i położył swą rękę na pełném, piękném ramieniu dziewczyny. Przestraszone dziéwczę krzyknęło głośno i obróciło się. Oczy jéj iskrzyły się gniewem i pałający rumieniec okrył jéj świéże, nadobne lica. A gdy poznała Don Alkamara, rozjaśnił słodki uśmiech jéj piękne rysy, i powitała go przyjaźném skinieniem głowy.

— „Dzień dobry, Donna Inez de Mendoza!“ — rzekł Don Alkamar uroczyście podając jéj rękę. Dziéwczę otarło spiesznie fartuszkiem swą małą rączkę i podała nawzajem kawalerowi. Don Alkamar ucałował ją z uszanowaniem i godnością, jak gdyby znajdował się w pałacu królowéj i był przypuszczony do ucałowania ręki.

— „Donna Innez de Mendoza“ — rzekł potém — „czemże-to zajmujesz się już o tak rannéj porze?“

Dziewczyna spojźrzała z uśmiechem zadziwienia w jego poważne, piękne oblicze.

— „Piorę“ — rzekła.

— „I cóż-to pierzesz?“

— „A cóż — bieliznę kilku kawalerów, którą chciałabym oddać jutro zrana, by dostać pieniędzy.“

— „Donna Inez de Mendoza praczką!“ — westchnął Don Alkamar smutnie i zwiesił głowę na piersi.

— „Zapewne“ — rzekła dziewczyna — „moi przodkowie byli zamożni i wielcy, mieszkali w wspaniałym pałacu, i — “

— „Byli grandami Portugalii“ — przerwał Don Alkamar uroczyście — mogli jak ja stawać z nakrytą głową w obec króla.“

— „Ale mój dziad i ojciec nierobili tego,“ — zawołała Inez ze śmiechem, — „nierobili, bo niemieli za co kupić kapelusza z piórem, a cóż dopiéro bywać u dworu. Przodkowie naszego rodu niezostawili nam nic prócz imienia, a z tego żyć niemożna. Jestem biedna siérota, o którą nikt się nietroszczy pomimo dumnego jéj nazwiska, i musiałabym umrzéć z głodu, gdybym własnemi rękoma niezarabiała na kawałek chleba! Niewyrzucaj mi więc, Don Alkamarze, żem praczką, potępiaj raczéj moich przodków, że mię przywiedli do tego!“

Don Alkamar ujął dziéwczę do siebie i przycisnął z lekka do swoich piersi.

— „Ja nierobię ci wyrzutu“ — szepnął — „ale ubolewam nad tobą i przyszedłem wybawić cię z tego poniżenia i hańby. Przyszedłem zabrać cię z téj nędznéj izdebki do mego pałacu. Donna Inez de Mendoza, ofiaruję ci moją rękę. Czy chcesz zostać małżonką Don Alkamara de Centuros y Cavallos?“

Dziéwczę spojźrzalo na niego z słodkim przestrachem i ukryła zarumienioną twarz na jego piersiach.

— „Donna Inez, czy chcesz zostać moją małżonką?“ — spytał Don Alkamar.

— „Czy ja chcę?“ — szepnęła z cicha — „wszak wiesz, że już oddawna cię kochałam!“

Don Alkamar przycisnął ją silnie do serca i spoglądał na nią z uśmiechem uszczęśliwienia i dumy. Wprawdzie czuł on to bardzo dobrze, jak wielce zaszczycał małą Inez tą ofiarą, przenosząc ją nad tyle innych dam królestwa, i jak dumną powinna być z tego, że zostanie małżonką ostatniego potomka tak sławnego i znakomitego rodu. Ale to miłość przywiodła go do niéj i miłość téż przebaczała jéj, że liczyła dwudziestu antenatów mniéj niż Don Alkamar de Centuros y Cavallos.

Potém nachylił się do niéj i złożył pocałunek na jéj czystém, dziewiczém czole.

— „Chodź więc, Donna Inez“ — rzekł — „pójdziemy na mszę i każemy się zaślubić. Jako grand Portugalii mam prawo kazać się zaślubić w każdym kościele bez wszelkich zapowiedzi. Chodź więc; dziś jeszcze zostaniesz moją małżonką, i dziś wprowadzam cię do mego pałacu.“

— „A moja bielizna?“ — spytała Inez nieśmiało.

— „Odeszlesz ją, jaka jest tym zuchwalcom, którzy się poważyli poniżyć Donnę Inez de Mendoza na swoją praczkę. Rozumie się samo przez się, że moja małżonka niemoże myśleć więcéj o takim poniżającym zarobku. Lepiéj cierpić głód niż poniżenie. Chodź, Donna Inez, pójdziemy do ślubu!“

Donna Innez czuła, że musi być mu posłuszną, że serce jéj obrało go swoim panem i władcą! Poszła więc bez oporu, a gdy kapłan pobłogosławił ich związkowi, zaprowadził Don Alkamar małżonkę do swego pałacu; u którego drzwi witało nowożeńców ptastwo herbowe wesołym świegotem.

Donna Inez wiodła więc odtąd próżniacze, niezależne życie dostojnéj damy, ale bez połączonych z niém wygód i rozkoszy, bo głód to wcale niemiłe uczucie, i trochę za twardo spać na marmurowéj posadce, niemając innéj pościeli, prócz garści mchu i kamiennéj poduszki. Raz w pełni swéj nędzy, ośmieliła się Donna Inez radzić swemu małżonkowi, żeby sprzedał ciężki łańcuch złoty i swój płaszcz aksamitny, i za te pieniądze zapewnił sobie i jéj wygodne, a przynajmniéj wolne od głodu życie. Ale Don Alkamar spojźrzał na nią tak gniewnym i iskrzącym wzrokiem, że cofnęła się przerażona prosząc go o przebaczenie.

I w istocie gdyby Don Alkamar sprzedał swój łańcuch złoty i płaszcz aksamitny, znikłaby już wszelka różnica między nim a owym nędznym, obdartym żebrakiem u rogu ulicy, i każdy miałby prawo podać mu jałmużnę lub jak natręta odpędzić od siebie. Don Alkamar de Centuros y Cavalos zaś ze złotym łańcuchem i w płaszczu aksamitnym, był-to zawsze jeszcze ów dostojny szlachcic, który miał prawo wchodzić do sali królewskiéj i odbierać hołdy pospólstwa. Dlatego byłby Don Alkamar wolał umrzeć z głodu, niż pozbyć się tych ostatnich znaków swéj wielkości i swego znaczenia.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

DWIE DROGI.

POWIEŚĆ FANTASTYCZNA.

(Dalszy ciąg. Ob. Nr. 16. 17. 18. 19. Rozmaitości.)

VI.

(Noc. Sala jadalna rzęsisto oświetlona, zastawiona wspaniale. Przy stole przybranym w srebra, kryształy i kwiaty, siedzą napół pijani biesiadnicy, a pomiędzy nimi Wacław i hrabia. Służba nalewa wino w puhary. Jeden z obecnych gości powstaje, i wznosząc w górę kielich, śpiewa. Muzyka przegrywa na wesołą nutę.)

Żyć i użyć, póki czas!
Dość ma życie walk i prób!
Dziś niech nektar skrzepi nas,
Może jutro czeka grób!...

Blado płonie życia kwiat
Na bezdrożu pustych dni;
Tyleż złudy daje świat,
Ile kropel w czarze lśni!

Niech świętoszek pragnie chłost,
Niech się modli w celi mnich:
Im rozkoszą ducha wzrost,
Nam gwar biesiad, wrzawa, śmiech!

Nasze łodzie z pędem fal,
W wartką życia pchnijmy toń;
Pierś uzbrojmy w twardą stal,
W kwiat oplećmy zwiędłą skroń!

Tyś Wacławie wskazał wzór
Jak kwiat ułud w życie wpleść;
Złączmy pieśni w jeden chór:
Twą poeto głośmy cześć!

Wszyscy *(chórem).*

Żyć i użyć póki czas!
Dość ma życie walk i prób;
Dziś niech nektar skrzepi nas,
Może jutro czeka grób!

(Słychać powszechne oklaski)

Różne głosy.

Brawo! brawo!

Inny głos.

Wybornie.

Wacław.

Godne wieku słowa,
Kiedy światu pochodnia przyświeca grobowa.
Nim puścim łódź na fale, spełńmy ułud czaszę,
Bo noc roztacza skrzydła, bo jutro nie nasze!

(wyciąga rękę z pełnym kielichem)

No! szczęknijmy w puhary, splećmy wzajem (dłonie,
W czarodziejskim nektarze niech boleść utonie.

(Piją wszyscy.)

Hrabia *(do Wacława).*

Poeto! tyś nam winien słowo pieśni wieszcze.

Wacław *(półgłosem wskazując ręką w przeciwległe okno).*

Moja gwiazda już zgasła!

Hrabia.

Ona zalśni jeszcze!
Patrz! jak w stronę pierzchają czarne chmur tu- (many.
Księżyc błysnął uroczo, mgłą srebrną owiany:
W takiéj chwili moc natchnień tajemnicza leży.

Wacław *(przysłuchując się chwilę).*

Czy słyszycie jak kwilą puhacze na wieży?
To zwiastuny niedoli, posłanniki skonu!

Hrabia *(pogardliwie).*

Tak nam prawią podania. Do innego tonu
Nastrój pieśń swą, poeto: niech Ludomir młody
Zafleci dumkę tkliwą w cześć sielskiéj zagrody.
Duch twój w wyższą, w przestrzeńszą krainę (niech sięga,
Znana światu twych orlich polotów potęga!
Niech dawny żar płomieniem twoję pierś zapali.

Wacław *(napół pijany wyciągając rękę w stronę okna, mówi sam do siebie).*

Gwiazdo moja! coś lśniła na powietrznéj fali,
Gdzie jesteś? Czy mi wzejdzie jeszcze blask (twój złoty?
O nie! na mój widnokrąg spadł całun tęsknoty!

Na skrzydłach niedoperzych duch bezsilnie wzla-
(ta....
(z goryczą)
Mém hasłem, mém natchnieniem: rozpacz i za-
(trata!
(zwracając się do obecnych)
Nie żądajcie méj pieśni: jéj zatrute jady
Niezleczone na duszy wypalą wam ślady.
Płomień życia wysuszył moich natchnień zdroje,
Gwiazda zgasła! Wy pieśni, wy cudne sny moje
Gdzie jesteście?! Noc głucha, noc czarna dokoła!
(wskazując w okno, z rozpromienionèm nagle okiem)
Coś zabłysło!... czy przemknął biały cień anioła?
(smutno skłaniając głowę)
To złuda! Pusto, ciemno, ponuro jak w grobie...
(z coraz większym zapałem, wskazując ciągle w roztwarte okno)
Patrzcie tam, przez chmur kłęby mknie widmo
(w żałobie.
To on! on, co wypalił piętno na méj duszy,
Tchnął w łono żółć szyderstwa, pierś zwątpie-
(niem suszy,
Co myśl mą na torturach niewiary rozpina.
Słuchajcie! on mi szepcze przekleństwo Kaina!
Słowo, które w rozpaczy czerpiąc siłę z piekła,
Nad głową bratobójcy własna matka rzekła,
Na które wstrząsł się anioł, co strzegł raju
(bramy:
Chcecież słyszeć to słowo?

Wszyscy.

Słuchamy, słuchamy!

(Podczas mowy Wacława, Ludomir i Stanisław weszli prawie niepostrzeżeni do sali.)

Wacław.

„Potworo! ty coś łono nieskalane ziemi
Piérwszy splamił krwi bratniéj strugi czerwo-
(nemi,
Coś w ziarno śmierci posiał żywota pustkowie,
Zabójco niewinnego — przekleństwo twéj gło-
(wie!...
Niech cię serca własnego wieczna trapi nędza,
Niech cię wiatr po pustyni, jak plewa przepędza;
Niech na kark twój podniosą dłoń wyrodne syny,
Niech cię z mieczem ognistym gonią Cherubiny.
Gdzie stąpisz, niechaj węże oplotą cię kołem;
Niech się owoc w twych ustach rozsypie popio-
(łem!
Gdy na pościel z mchu miękką padniesz snem
(znużony,
Niech się pod głową twoją lęgną skorpijony;
Niech widmo twéj ofiary ściga ciebie we śnie,
Trwoga śmierci niech włos twój ubieli przed-
(wcześnie;
Gdy usty tkniesz sprosnemi czystego napoju,
Niech się tobie w krwi strugi zmienią wody
(zdroju:
Bo kto wiekom przekazał bratobójcze noże,
Niech żyjąc, wiecznie kona, a skonać nie może!
Choć gruby czasu pomrok twe imię otoczy,
Potomność niech ci bluzga przekleństwo na oczy!
Niech za stóp twych dotknięciem miękka trawa
(spłonie,
Niech dąb nie rzuca cieniu na twe spiekłe skronie;
Niech ziemia nie ma schrony, ni grobu dla ciebie:
Nie znaj słońca w przestrzeni, ani Boga w nie-
(bie.“ [1])

Stanisław *(ze zgrozą).*

Panie! przebacz bluźnierstwo!

Ludomir *(oburzony).*

Włos wstaje nad głową!

Wacław *(z goryczą).*

Wszyscy, wszyscy dzierżymy klątwę Kainową,
Każdy spełnia po kropli swój puhar goryczy:
Ile serc, tyle piekeł nędzna ziemia liczy!

Wszyscy.

Brawo! brawo poeto!

Hrabia.

Jaka myśl bogata!

Wacław *(stłumionym głosem).*

Mém hasłem, mojém godłem: rozpacz i zatrata!!...

Hrabia *(do służby).*

Lejcie wino w puhary!
(do Wacława)
Poeto, twe zdrowie!
(pije, i oddaje puhar Wacławowi)

Wacław *(spełniwszy kielich).*

Spełniłem co do kropli! Lecz kto mi odpowie?
(spostrzegając Ludomira, mówi do niego z urąganiem)
Sielski śpiewaku!... jaskółko zpod strzechy!
Zanuć nam dumkę niewinnéj pociechy:
Na twojéj niwie siła kwiatu rośnie,
Przynieś nam wieści o słońcu, o wiośnie!
Wzbij się ku niebu skowronka podloty,
Opiewaj zorzę i poranek złoty,
I jasną dolę, jaką człek na ziemi
Zaznał, gdy pląsał smugi kwiecistemi,
Nim Pan, dostrzegłszy w sercu jego plamy,
Wygnał go chłostą za Edenu bramy,
Na nędzę, pracę, boleści i krzyże.
Składam w twe ręce puhar, Ludomirze!
(Nalewa puhar i oddaje go Ludomirowi.)

Ludomir *(odtrącając go).*

Precz z nim na wieki! Nie w durzącém winie,
Lecz z nieba, wieszczom moc natchnienia płynie!

---

[1]) Kain, Byrona.

Biada kto w błoto rzuca dary boże,
Kto w sercach bratnich ściele gadom łoże,
Kto z łona zionie zgnilizną grobową,
Kto w grom zniszczenia mieni pieśni słowo!
Kto miota klątwy, sam stokroć przeklęty:
Jego się sława rozpryśnie na szczęty,
Jak ona czasza...
(porywa puhar z rąk Wacława i rzuca go na ziemię)
Ja w niéj usta nie zmażę!
Drudzy niech kłamstwu stawiają ołtarze:
Mém godłem: prawda, nadzieja a wiara!

Hrabia *(szyderczo)*.

O! to podobno piosnka bardzo stara,
Źle dziś popłaca!....

Głos z boku.

To człowiek szalony!

Hrabia *(z urąganiem)*.

Coś śpiewak ludu, sielskiéj pieśni tony
Na nieco wyższą nastroił dziś skalę.

Głos z boku.

Jeszczem go w takim nie widział zapale.

Stanisław *(do Ludomira)*.

Pójdź Ludomirze! nie twoje tu pole:
Darmo tu skrzydła rozwijać sokole,
Gdzie moc natchnienia jad szyderstwa studzi,
Tam gdzie miłością tleją serca ludzi,
Kędy pierś czysta, a duch nieskalany,
Chronią się w cieniu zagrody chruścianéj:
Tam przemów pieśnią, a rzewnéj twéj nucie
Szczere a święte odpowie współczucie!
(Odchodzą.)

Hrabia *(do Wacława, który stoi jak skamieniały)*.

Ocknij się wreszcie!

Głos z boku.

Co jemu? drży cały!
Blady jak widmo, usta mu zsiniały!

Hrabia.

Czyż tak cię zawiść ma obchodzić czyja?
Słowo, czcza bańka!

Wacław *(ze zgrozą)*.

O! słowo zabija!..

(Dalszy ciąg nastąpi.)

POWIEŚCI z KUBY.

(Ob. Nr. 10. 13. Rozmaitości.)

III.
Cienfuego.

W początkach bieżącego stulecia, Hiszpania zawdzięczając ważne przysługi, zezwoliła francuskiemu kapitanowi panu de Clouet, wybrać sobie na własność pewną przestrzeń na południowym wybrzeżu Kuby, i zająć w dziedziczne posiadanie. Clouet nieśmiejąc pod ów czas przebierać się lądem, najął okręcik w Hawannie i puścił się opatrywać wybrzeża. Długo szukał na próżno, trzeba aż burza gwałtowna zapędziła go w piękną, skalistę i głęboką zatokę w prowincyi Fernandina de Sagua, czternaście około mil drogi do Villa Clary. Kapitan mąż obrotny a rozsądny, przejźrzał w okamgnieniu wszystkie korzyści w takiéj siedzibie, co była jedyném lądowiskiem na południu między Hawanną i San Jago de Cuba; więc nie tracąc czasu pospiesza do Madrytu, wyrabia dokument darowizny na przestrzeń półtora mili w dłuż a i w szerz tyle, spienięża co ma w majątku, sprasza przyjaciół przedsiębierczych, zmawia trzydzieści rodzin katalońskich biegłych w rzemiośle i roli, opatruje okręt w zasoby i porządki dogodne osadzie nowéj, i zawija z nimi na Kubę.

Pięć lat minęło, w Madrycie i zapomnieli już kapitana i o jego osadzie, były to czasy kiedy się przeważały losy Hiszpanii; zdziwiło więc ministra p. Cienfuego, niegdyś protektora pana Clouet, gdy otrzymuje list pisany z Cienfuego, portowego miasta w prowincyi Fernandina de Sagua na Kubie. Wdzięczny Francuz przezwał swoją osadę po imieniu protektora swego; a minister swym oczom nie dowierzał wyczytując z listu że nowe miasto Cienfuego liczy już przeszło dusz dwa tysiące, że posiada rozległe plantacye, z nich wielki e dochody zbiera, i że korabiarze w téj chwili siedm przewozowych statków budują, któremi swoje płody spławiać, rozwozić a cudze w zamian sprowadzać będą. Kończył doniesieniem że wkrótce sam do Madrytu przybywa z podaniem korzystnych dla rządu projektów. W rzeczy saméj przybył, i tak umiał wystawić znaczenie i korzyści z kolonii, że go rząd pułkownikiem mianował, a miasto jego Cienfuego otrzymało swobodę kilkadziesiątletniéj niezawisłości od administracyi cywilnéj i wojskowéj w Hawanie, zależąc wprost od samego ministeryum jedynie. Nadto wymieniono w królewskim dekrecie, że rządy w Cienfuegu po czas niezawisłości miasta sprawować ma udzielnie p. Clouet sam i potomkowie jego po mieczu z tytułem gubernatora. — Jeszcze kilka lat temu żył p. Clouet, założyciel i stały gubernator swojéj kolonii Cienfuego, i dobrze mu się wiodło, kosztowało go to, prawda, ale słodki owoc po pracy.

Jak tylko zawinął z osadnikami, piérwsza było przetrząsnąć jak najstaranniéj cała okolicę i wybrzeżne skały zatoki; zdało im się że bywały zamieszkiwane, a co zatrwożyło że znaleziona broń domyślać się rozbójników morskich kazała. Zaczęło to niepokoić, zwłaszcza, iż się już pobudowali. Ale Clouet przezorny złożył pewien rodzaj milicyi z mieszkańców i wystawił dwie turmy strażnicze u wstępu do zatoki.

Minęło dwa lata, korsarzy nie widać było, ochłonęła obawa i wartę zwinięto, sądząc że miasto o pięciu set rodzinach już samo wzmogło się w dostateczną siłę. Ale właśnie pod tą samą porę kiedy straż zwinięto, pokazał się w czasie gwałtownéj burzy jakiś podejżrzany czarny okręt w pobliżu zatoki, trzech ludzi się spuściło, biały jeden i dwóch murzynów. Biały przebiegał miasto widocznie zdziwiony widokiem. Clouet z kilkoma ludźmi wyszedł naprzeciw, i zwyczajem portowego miasta zapytał: ktoby był, i czyjego narodu jest okręt. Gość wywiódł się że jest kapitanem amerykańskiego okrętu z Mobile, z przeznaczeniem do handlu niewolnikami; dodał że mu ta zatoka dobrze jest znana, i że go nie mało dziś zdziwiło widzieć w tém miejscu miasto, gdzie wprzód żywéj duszy nie było. Teraz w podróży do Afryki okręt jego nieco ucierpiał, chciał zatém wysiąść i na brzegach ściąć nieco drzewa na popłażnicę do masztu, którą mu burza zerwała. Gościnność Clouéta dozwoliła mu nabierać żywności, nakupił także popłażnic i masztów, płacił wszystko w złocie dublonami hiszpańskiemi, i nazajutrz odjechał.

W kilka dni po nim przybił do téj saméj zatoki inny statek, amerykański okręcik wojenny, i dopiéro się wyświeciło że gość wczorajszy był sam Lafitte, sławny rozbójnik morski, za którym Amerykanin ścigał. Odtąd Clouet nie dowierzając losom postanowił mieć się na ostrożności, więc zakupił dziesięć dział starych dwunastofuntowych, zaopatrzył zbrojownię w porządki, utworzył kompanię stałego żołnierza, i zabezpieczył wybrzeża od napadu rozbójniczego. Rok upłynął szczęśliwie, i tyle tylko wieści o rozbójnikach, że Lafitte ścieśniony na wyspie Barataria u ujść Mississipi, odcinał się ostatkami swéj bandy wojskom z Nowego Orleanu.

Gdy ta wieść jeszcze krąży, postrzega Murzyn wysłany na rybołówkę jakiś podejżrzany żagiel na morzu w dali; więc ostrożni osadnicy Cienfuegu obsadzają turmy ludem, wyprawiają wywiadowców ponad brzegi ażeby pilnie uważali ruchu okrętów podejżrzanych. Zmrokiem pod wieczór postrzeżono że dwa okręta podbijają ku brzegom; noc była ciemna; w mieście się zaczajono, i cisza panowała głęboka jak gdyby wszyscy spali. Goście — pokazało się że sam to był Lafitte ze swoją zgrają — podsunęli się ostrożnie ku samemu zabrzeżu zatoki, poprzesiadali się w odpięte baty, penisze i czółna, i wyprawili się cichaczem w zatokę wprost sam środek miasta, widocznie ażeby znienacka podejść. Tego tylko Clouet oczekiwał. Na znak spadła osłona z turm jednéj i drugiéj, bateryę dały ognia i ugodziły na statki. Popłoch padł na rozbójników; ani się spodziewali by osadnicy działa mieli, i długo trwało nim się zdobyli na hasło, i w odwet odpowiedzieli; i że śmiali jak rozbójnicy morscy zwykle, godzili przecie na miasto, tusząc nadrobić odwagą; marne zawody, wpadli na nasadzone bagnety całéj milicyi, czterykroć liczniejszéj niźli była ich garstka. Nie wielu tylko z nich uniosło życie, i to że ciemność nocy im posłużyła; ale statki musiały zaznać klęski nie małéj, bo ani się poważyły ponawiać napadu, owszem w kilka godzin po téj przeprawie okazał się na morzu wdali w widoku słup gorejący płomieniem, z czego wnosili mieszkańce że statek jeden korsarzom pogorzał, lub może że nadtraciłi majtków sami go spalili. Oczewiście nie powiodła im się wycieczka po myśli, a co lepsza że i pozostały okręt pojmali nazajutrz Anglicy, dosłyszawszy huku dział dniem wprzódy. O tym samym czasie zdobyli Amerykanie korsarskie zasieki na Barataryi, i odtąd Cienfuego z zapamiętałości rozbójniczéj oswobodzone wzrastało w dostatki bezpieczne od napaści.

Lecz po chwili gdy z trwogi ochłonęły umysły, rozniesło się po kolonii że napad korsarski nie koniecznie z widoków samego Lafitta pochodził; wiadoma była powszechna zawiść wszystkich portów kubańskich, i zazdrość powodzeniu Cienfuegu; dowiedziano się że Lafitte zostawał w ścisłych związkach z kupcami w Hawannie, w San Jago i w Trinidad de Cuba; padały więc podejżrzenia że napad podjęty był raczéj z podniety sąsiedzkiéj, ażeby zniszczyć wzrastającą kolonię, która sąsiadom zaczynała być solą w oku.

Jak się zacznie szukać powodów, końca im nie będzie. Obok tych dotkliwych domysłów, dotkliwszą stała się rozniecona między ludem pogłoska, że korsarze dla tego godzą na zgubę osady, ażeby odbić na niéj skarbiec łupieży i bogactw swoich tu na tém miejscu gdzieś zakopanych. Więc cała czeladź i wszystko co z pracy rąk żyło, rzuciło się między góry i skały, szukać skarbów w podziemiach. Ustały rzemiosła i rękodzieła, stateczna praca i uczciwy zarobek, gdy żądza i domysł tajonych skarbów duszę opanowały. Trwało to lat kilka nim urojenie przytęchło, ale są jeszcze i dziś tacy, nawet znakomici ludzie, którzy się temi marami łudzą.

A i jeszcze jeden powód dla czego osady téj niecierpiano. Clouet sam, piérwszy założyciel, był temu winą, najprzód że rodem był Francuz, powtóre że gubernatorem swojéj kolonii niezawisłym od rządów w Hawannie, a potrzecie że niewolnictwa nieprzebłagany nieprzyjaciel, nigdy nie dozwalał w okręgu powiatu swego zawijać handlarzom niewolnikami, owszem uprzedzał wdali krążące okręta, że jeśli z niewolnikami, przystępu dla nich niema. To postępowanie obrażało wszystkich handlarzy kubańskich, i byliby w duszy Clouéta z jego Cienfuegiem w łyżce wody zatopili.

Wiedział o tém Clouet, że mu zewsząd niebezpieczeństwem groziło, a przypadło mu raz wyjechać w sprawach rządowych do Hawany. Wsiadł tedy, ale na okręt hiszpański którego kapitan nie tylko znany ale doświadczony był mu przyjaciel. Mimo wszelkiéj ostrożności nie uszedł zdradzieckiego zamachu. W chwili gdy w gmachu rządowym w Hawanie wystąpił na balkon, padło na niego pięć kul z wystrzału „trabuco" rusznicy o lufie szerokiéj, która się kilkonastą kulami ładuje. Obskoczyli padającego wszyscy, gubernator Kuby, radzcowie i dworzanie, ale zbrodniarz nie znalazł się i nie odkryto go nigdy. Przyjaciel kapitan z majtkami znieśli Clouéta na okręt, z obawy kiedy się piérwszy zamach nie udał, aby poźniéj go nie otruto na lądzie. Długi czas cierpiał Clouet, zostawał nawet w niebezpieczeństwie życia; raport do Madrytu sprawił przynajmniéj tyle, że wielu urzędników na Kubie poodprawiano, a innych odwołano.

Ale co Lafitte, skończył jak wielu bohatérów w romansach. Gdy się obrał w dostatki i skarbów nazbijał, osiadł w północnéj Ameryce w prowincyi Yucatan, i żył na stopę możnych, obywatel spokojny, zacny, sprawiedliwy, nim go dosięgła ręka sprawiedliwości. Uległ w zasadzce; jeden z dawnych kolegów korsarskich zabił go w małéj wiosce około Campeche.

Główny Redaktor **M. Szrzeniawa Sartyni.** *Z c. k. galicyjskiéj drukarni rządowéj.*